

Drzwi do lasu

16 lutego 2015

Bywa tak, że im częściej i więcej mówi się o czymś, tym mniej postaw i zachowań odpowiadających deklaracjom. Tak jest również w przypadku tego, co potocznie określamy mianem ekologii. Prawie wszystko ma dziś swoje wersje „eko”, a tak lub inaczej pojmowana ochrona środowiska stanowi już niemal popkulturową modę. Mimo to żyjemy w świecie coraz bardziej „sztucznym”, w separacji od przyrody.

Mówi o tym niedawno przetłumaczona na język polski książka Richarda Louva pt. „Ostatnie dziecko lasu. Jak uchronić nasze dzieci przed zespołem deficytu natury”. Choć skupia się na młodym pokoleniu, jest to analiza – i zarazem alarm – na temat tego, że mieszkańcy krajów wysokorozwiniętych przestają mieć związek z realną przyrodą i „namacalnym” środowiskiem naturalnym. Warto oddać głos autorowi, który w bardzo klarowny sposób snuje opowieść: „W ciągu ostatnich kilku dekad radykalnie zmienił się sposób rozumienia i doświadczania przyrody przez dzieci. Nastąpiło całkowite odwrócenie sytuacji. Dzieciaki są dziś świadome globalnych zagrożeń dla środowiska naturalnego, ale ich fizyczny kontakt i bliska relacja z przyrodą powoli odchodzą w zapomnienie. Zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy ja byłem dzieckiem. Kiedy byłem mały, w ogóle nie zdawałem sobie sprawy, że moje lasy znajdują się w ekologicznej łączności z innymi lasami. W latach 50. nikt nie mówił o kwaśnych deszczach, dziurze ozonowej czy globalnym ociepleniu. Mimo to świetnie znałem swoje lasy i pola, znałem każdy zakręt strumyka i zagłębienie w piaszczystych ścieżkach. Wędrowałem po nich nawet we śnie. Współczesne dzieciaki z pewnością opowiedzą nam wszystko o amazońskich lasach tropikalnych, lecz nie o tym, kiedy ostatnio samotnie spacerowały po lesie albo leżały na łące, wsłuchując się w świst wiatru i obserwując przepływające nad ich głowami chmury. Ta książka dotyczy rosnącej przepaści między naszymi

dziećmi a światem przyrody oraz jej środowiskowych, społecznych, psychologicznych i duchowych konsekwencji.”

Richard Louv urodził się w roku 1949. Problem, który sygnalizuje, nie jest jednak efektem rozczarowania światem obecnym, nie jest to standardowa litania skarg i żalów człowieka już niemłodego, że „dawniej było lepiej” itd. Jakkolwiek zarówno wiek autora, jak i zanurzenie jego narracji w realiach amerykańskich (a więc bardziej, jak przystało na kraj zamożniejszy, „stechnicyzowanych”) nie pozostają bez znaczenia, to jednak nie mają one nic wspólnego z narzekaniami „zgorzkniałego starca” na „dzisiejszą młodzież”. Będąc o niemal półtora pokolenia młodszym od Louva i mieszkając w Polsce, podczas lektury miałem wciąż rosnące przekonanie o trafności jego analizy i dobrym rozpoznaniu rzeczywistości. Moi rówieśnicy, a nawet sporo osób o dekadę młodszych, szczególnie niebędących od małego mieszkańcami wielkich miast, zapewne pamiętają z dzieciństwa liczne związki z przyrodą. Realizowane mimochodem, bez „eko” haseł i trendów, najzwyczajniej w świecie – lasy, łąki, pola, zarośla itp. były naturalnym punktem odniesienia i miejscem spędzania czasu. „Bazy” na drzewach, szałas budowane w wakacje, całe dni spędzane w „dzikich” miejscach (nawet jeśli były nimi zwykłe krzaki na obrzeżu osiedla), napędzane ciekawością eksplorowanie wszelkich możliwych nieużytków, węgry czy turystyczne nieformalne wyprawy wśród przyrody – wszystko to było dla mnóstwa osób z tego pokolenia chlebem powszednim. Było też czymś zgoła odmiennym od sposobu, w jaki spędzają czas dzisiejsze dzieci i młodzież – przed ekranami telewizorów i monitorami komputerów, w pomieszczeniach, w przestrzeni coraz bardziej uporządkowanej, z dala od choćby niewielkich i skromnych miejsc opanowanych przez przyrodę inną niż całkowicie „sztuczne” parki i inne oficjalne „tereny zielone”. Ba, znaczna część dziecięcej aktywności dzisiejszych 30–40-latków mogłaby przyprawić ich samych o palpitację serca w przypadku potencjalnych zachowań własnych pociech, jeśli nawet nie wywołałaby surowej reprymendy ze strony rodziny, sąsiadów,

a może nawet przedstawicieli instytucji opiekuńczo-kontrolnych.

„Nasze społeczeństwo uczy młodych ludzi unikania bezpośredniego kontaktu z przyrodą” – stwierdza Louv. Prowadzi to do zjawiska, które określa on przy pomocy autorskiego terminu „zespół deficytu przyrody (natury)”. Niełatwo zdefiniować ten problem, choć staje się on dość oczywisty, gdy połączymy intuicyjne skojarzenia ze wspomnieniami i refleksjami nas samych lub osób wychowanych dawniej. Autor „Ostatniego dziecka lasu” przywołuje własne dzieciństwo, opinie innych dorosłych, a także tych – będących w mniejszości wśród rówieśników – dzieci, które obecnie spędzają wiele czasu wśród przyrody. Wszyscy oni podkreślają, że obecne młode pokolenie jest coraz bardziej odseparowane od natury, niewiele o niej wie, nierzadko boi się takiego otoczenia lub zupełnie nie potrafi w nim zachować. Louv określa to mianem przekroczenia trzeciego pogranicza, nawiązując do popularnej w USA teorii. Mówi ona, że pierwsze pogranicze przekroczone, gdy kolonizacja kontynentu zakończyła się po wyczerpaniu zasobów niezagospodarowanej ziemi pod koniec XIX wieku. Drugie – sto lat później, gdy w roku 1990 rolnicy stanowili już tylko 1,9 proc. populacji USA i rząd uznał, że niepotrzebny stał się coroczny spis ludności z tej grupy. Trzecie pogranicze przekroczone, zdaniem autora książki, obecnie, w pokoleniu dzieci rodziców z roczników 1946–1964. To dzieci, których większość nie zetknęła się z życiem na wsi, nie mają tam rodziny, nie stykają się w codziennym życiu z lasami, łąkami czy innymi okolicznymi obszarami przyrodniczymi. To pokolenie do cna „miejskie”, „stechnologizowane”.

Autor stawia pytania o przyczyny takiego stanu rzeczy. Jest ich wiele. Oprócz nawyków związanych z nowymi technologiami czy rosnącym komfortem życia są to także zjawiska mniej oczywiste. Na przykład efekt coraz częstszych zakazów – dzieciom zabrania się wchodzić na drzewa w parkach, budować „domki” czy „bazy” wśród nieużytków lub tamy na strumieniach,

wędkować, a nawet jeździć rowerami poza wytyczonymi trasami. Tak dzieje się szczególnie w osiedlach na przedmieściach i stanowi to syntezę kultu własności prywatnej oraz amerykańskiej plagi związanej z pozwami sądowymi o odszkodowania za ewentualne wypadki, urazy, skaleczenia, zniszczenie mienia itp. Im mniej dzieci robią samodzielnie i poza drobiazgową kontrolą, tym mniejsze ryzyko, że komuś coś się stanie na terenie, za który ktoś inny odpowiada. Zatem zakazuje się maluchom w zasadzie wszystkiego, co spontaniczne. Jakkolwiek rośnie ilość młodych uczestników zajęć sportowych i rekreacyjnych oraz czasu poświęcanego na tę aktywność, dokonuje się to jednak w sposób drobiazgowo zorganizowany i w „sztucznej”, całkowicie zaplanowanej przestrzeni. Louv przytacza słowa jednego z rodziców: „Nasze dzieci słyszą, że tradycyjna zabawa na dworze jest łamaniem zasad. A potem są strofowane, kiedy siedzą przed telewizorem – i wysyłane do zabawy na dwór. Tylko gdzie? W jaki sposób? Czy powinni zacząć uprawiać kolejny zorganizowany sport? Nie wszystkie dzieci chcą być cały czas zorganizowane. One pragną dać upust swojej wyobraźni; zbadać, dokąd płyną strumienie.”

Inna z przyczyn separacji od przyrody również ma charakter bardzo konkretny – to po prostu „wypychanie” natury z naszego otoczenia. Rozrost miast i osiedli powoduje, że znikają okoliczne lasy czy łąki. Ci, którzy mieszkali niegdyś na obrzeżach, teraz znajdują się w centrum aglomeracji, a nowi mieszkańcy „pogranicza” stykają się ze swoimi odpowiednikami z okolicznych miejscowości. Dotyczy to także osób, które zapłaciły setki tysięcy dolarów za możliwość mieszkania z dala od centrum, „w ciszy i spokoju”, bo takich jak oni było wielu, więc wspólnie zniszczyli te walory zasiedlanych okolic. Również w miejscach zurbanizowanych od dawna, w centrach miast itp. drastycznie ubywa terenów zielonych – czy będą to parki wypierane przez komercyjną zabudowę albo przez drogi dojazdowe (gdy takim terenom uda się przetrwać, zwykle są coraz bardziej drobiazgowo zagospodarowane i pełne obostrzeń dotyczących dozwolonej aktywności), czy też rozmaite nieużytki, opuszczone

parcele, empty spaces, gdzie dawniej nieco swobody znajdowały przyroda i ludzka/dziecięca kreatywność. Na przykład w Los Angeles zaledwie 30 proc. mieszkańców żyje w takiej odległości od parków, która pozwoliłaby bywać w nich bez większych, specjalnie przedsięwziętych wysiłków. W niektórych miastach USA w parkach pojawiła się... sztuczna murawa.

Wszędzie tam, gdzie istnieją duże skupiska ludzi, coraz trudniej o możliwość łatwego i szybkiego kontaktu z przyrodą – staje się ona celem odległym, więc nieoczywistym. Zjawisko to przybiera formy skrajne, a zarazem masowe: „Według danych Amerykańskiego Biura Statystycznego w 1910 roku klimatyzację miało tylko 12 procent domów. Ludzie otwierali okna i wpuszczali do mieszkań nocne powietrze, odgłosy wiatru i szeleszczących liści. Kiedy na świat przyszło pokolenie baby boomers (lata 1950.), już połowa domów miała klimatyzację. W 1970 roku odsetek ten wzrósł do 72 procent, a w 2001 roku do 78 procent.” Maleje nawet liczba osób podziwiających przyrodę i krajobraz przez okna samochodów, bo na oparciach przednich foteli montuje się ekrany dla dzieci siedzących z tyłu – mogą oglądać telewizję, filmy z odtwarzaczy lub zajmować się grami.

Podobnej tendencji podlega edukacja – z przyrodą niełatwo „spotkać się” także w szkole. Coraz mniej w niej zajęć z historii naturalnej, z rozpoznawania gatunków i siedlisk, szczególnie lokalnych, a coraz więcej zarówno mikrobiologii (co wynika z trendów biznesu i rynku pracy), jak i ogólnikowej wiedzy o globalnym ekosystemie (co jest pochodną profilu współczesnego ruchu ekologicznego i popularności jego narracji). Według jednego z rozmówców Louva „nawet w naukach ścisłych, gdzie przyroda odgrywa tak istotną rolę, uczniowie poznają ją w sposób suchy i zmechanizowany. Jak działa echolokacja u nietoperzy, jak rośnie drzewo, dlaczego nawożenie gleby poprawia wydajność upraw? Dzieci patrzą na przyrodę przez pryzmat eksperymentu laboratoryjnego.” Młodzi coraz więcej wiedzą o globalnych problemach ekologicznych, a jednocześnie są coraz bardziej skrupulatnie odcinani od

kontaktu z realną przyrodą, w tym tą lokalną. Ma to już, zdaniem Louva, określone skutki – przyroda przestaje być czymś ciekawym i atrakcyjnym. W efekcie na przestrzeni zaledwie pokolenia znacznie zmalała liczba osób odwiedzających amerykańskie parki narodowe, a w niektórych z nich jest to spadek odwiedzin o nawet połowę. Tylko w latach 1991–2001 aż o 10 milionów Amerykanów zmniejszyła się liczba osób biorących udział w różnych formach rekreacyjnego obserwowania przyrody i kontaktu z nią.

Dochodzi do sytuacji tak kuriozalnych jak ta, że organizacje i inicjatywy niegdyś bazujące na kontakcie z przyrodą rezygnują z takich zajęć i sposobów spędzania czasu. Nawet uczestnicy ruchów ekologicznych czy obrony praw zwierząt często nie mają żadnych „zwykłych” związków z przyrodą. Louv przytacza opinię jednego z działaczy indiańskich: „Jedyne zwierzęta, z którymi zetknęli się ci młodzi aktywiści, to ich zwierzęta domowe. Poza tym napotykali je w ogrodach zoologicznych, oceanariach albo podczas wypraw na obserwowanie wielorybów. Są całkiem oderwani od źródeł swojego pożywienia – nawet od soi i innych białek pochodzenia roślinnego, które konsumują.” W innym miejscu Louv pisze o ruchu obrońców środowiska, że „zaczął się opierać na wymuskanych prawnikach w Waszyngtonie, a nie na miejscowych przyrodnikach w zabłoconych butach.” I dodaje: „w miarę, jak ochrona przyrody staje się coraz bardziej teoretycznym pojęciem oderwanym od radosnego doświadczania świata za oknem, musimy się zastanowić, skąd wezmą się przyszli obrońcy przyrody?”

Nie jest to pytanie bezzasadne, bowiem przywołane przez autora „Ostatniego dziecka lasu” wyniki badań dotyczących przyczyn zaangażowania w obronę przyrody są jednoznaczne. Mówią one, że starsze pokolenie „działaczy ekologicznych” wskazuje jako główny powód swojej aktywności zetknięcie się lub częste przebywanie w dzieciństwie w otoczeniu całkiem naturalnym lub przekształconym tylko częściowo (wiejskim). Również wśród „biernej” części społeczeństwa osoby sympatyzujące z

postulatami ochrony przyrody to przede wszystkim te, które w dzieciństwie miały możliwość udziału w „zajęciach na łonie przyrody”. Louv konkluduje: „Ochrona przyrody zależy od czegoś więcej niż tylko od siły [...] organizacji ekologicznych. Zależy także od jakości relacji młodych ludzi z przyrodą – od tego, w jaki sposób – jeśli w ogóle – młodzież przywiązuje się do natury.” Organizacjom ochroniarskim dostaje się też za wylewanie dziecka z kąpielą. Jakkolwiek Louv nie uznaje wędkarstwa czy tym bardziej myślistwa za postawy moralnie obojętne, to uważa, że „miejska” czy „humanitarna” ekologia spod znaku m.in. potępiania łowienia ryb, bez zaproponowania i wypromowania wśród młodych ludzi realnych alternatyw z dziedziny spędzania czasu na łonie natury, jeszcze bardziej przetrzebia szeregi osób mających szansę nawiązać więź z przyrodą.

Autor „Ostatniego dziecka...” ukazuje również przeobrażenia, jakim w USA uległy skauting/harcerstwo. Na masową skalę rezygnują one lub ograniczają zasięg takich działań i form aktywności, które miały związek z otoczeniem przyrodniczym. Ośrodki harcerskie stają się luksusowe i oddalone od „dziczy”, a ich program to w dużej mierze zajęcia dotyczące samorozwoju w „sztucznym” otoczeniu, niewiele mające wspólnego z dawnymi ideałami i aktywnościami skautowskimi. I tutaj nie dzieje się to bez głębszych przyczyn. Po pierwsze, im mniej czasu na wychowanie dzieci mają zapracowani i „mobilni” rodzice, tym więcej oczekują od takich organizacji aktywności stricte moralno-wychowawczej. Po drugie – stale rosną, do horrendalnych kwot, koszty ubezpieczeń za zajęcia prowadzone w „niepewnych” czy „potencjalnie niebezpiecznych” warunkach, zatem taniej jest zorganizować wyjazd dzieci i młodzieży w sterylne i zaplanowane miejsca niż tam, gdzie przyroda i skauci mają choć trochę swobody. Po trzecie – bo sami rodzice – a pod ich presją opiekunowie i wychowawcy – wymagają absolutnego bezpieczeństwa swoich pociech, oburzając się na takie niegdyś oczywiste formy spędzania czasu, jak piesze wędrówki po lasach czy górach, wspinanie się na drzewa itd.

Ano właśnie – bezpieczeństwo. Chyba kluczowym wśród czynników sprawczych separowania młodego pokolenia od przyrody jest ogromny wzrost różnych obaw o ich zdrowie i życie. Richard Louv nazywa to „syndromem Baby Jagi” – coraz silniejszym, wręcz obsesyjnym lękiem, że dzieciom stanie się coś złego. Media epatują zagrożeniami i innymi skandalizująco-alarmistycznymi przekazami, zwykle bazującymi na jednostkowych przypadkach, które jednak zwielokrotnione przez wszystkie kanały informacyjne urastają do rangi masowego zjawiska. Maleją dietność i ogólna liczba dzieci, a więc maluchy stają się „rzadkim dobrem”. Celowo podsycana jest histeria przez rozmaite lobbies o nierzadko szczytnych celach. Autor podaje przykład Fundacji na rzecz Obrony Dzieci, która twierdziła – i dotarła z takim przekazem do milionów odbiorców – że od 1950 r. co roku podwaja się liczba dzieci zabitych z broni palnej w USA; gdyby była to prawda, w roku 1983 liczba zabitych musiałaby wynieść 8,6 miliarda, czyli więcej niż populacja globu. Powszechne jest przekonanie o wszechobecnej przemocy i innych ryzykach. Wszystko to sprawia, że rodzice panicznie boją się o dzieci.

Stąd tylko krok do odseparowania ich od przyrody, która ze swą spontanicznością i nieprzewidywalnością jawi się jako szczególnie niebezpieczna, bo niepoddawalna całkowitej kontroli. Nie ma to wiele wspólnego z rzeczywistością. Wypadki „przyrodnicze” to znikomy, niemal niezauważalny odsetek wszystkich. Rozmaite zagrożenia i przestępstwa w „dzikich” okolicach to również zjawisko rzadkie. Ba, same przestępstwa wobec dzieci mają, wbrew powszechnemu odczuciu, zwykle skalę malejącą – w roku 2005 liczba brutalnych przestępstw wobec młodych ludzi spadła w USA poniżej progu z roku 1975. Te, które wciąż miały miejsce, wcale nie były dokonywane głównie przez „obcych w nieznanym terenie” – np. sprawcami porwań dzieci najczęściej są ich krewni, a miejsca takich zdarzeń to dom rodzinny lub jego otoczenie. Tymczasem w USA występuje duży i ciągle rosnący lęk przed obszarami przyrodniczymi, znów całkowicie wbrew faktom, bo np. liczba przestępstw w parkach

narodowych znacząco spadła w ciągu kilku dekad, a ich liczba bezwzględna jest śmiesznie niska w stosunku do liczebności populacji odwiedzającej takie tereny. Ogromne żniwo zbiera wśród dzieci w USA otyłość, problemem jest także znaczne spowolnienie spadku śmiertelności niemowląt, natomiast „zwyrodnialcy czyhający w dziczy na naszych milusińskich” występują głównie w filmach kryminalnych i thrillerach. Powstaje typowe błędne koło: im bardziej boimy się przyrody, tym słabiej ją poznajemy – a im słabiej ją znamy, tym bardziej się jej boimy...

Nawiasem mówiąc, choć autor opisuje tendencję bez wątpienia globalną, a przynajmniej typową dla krajów wysokorozwiniętych, to z lektury wyłania się obraz Stanów Zjednoczonych jako kraju z pogranicza „społecznej paranoi”. W „Ostatnim dziecku lasu” mamy sporo fragmentów znamionujących miłość Louva wobec swojej ojczyzny, jej dziedzictwa przyrodniczego i kulturowego, jednak jest to zarazem – zapewne częściowo nieświadome – oskarżenie USA o daleko posunięte zwyrodnienie relacji społecznych, życia publicznego i rodzinnego, kultury i etosu, prawodawstwa i jego stosowania itd.

Badania wskazują, że w kwestii odseparowania dzieci od przyrody mamy do czynienia nie tylko z subiektywnymi wrażeniami lub obserwacjami autora „Ostatniego dziecka...”. Na przykład badania Sandry Hofferth z Uniwersytetu Maryland mówią, że w ciągu zaledwie sześciu lat (1997–2003) o połowę zmniejszyła się liczba dzieci odbywających piesze wędrówki i spacer, zabawy na plaży, w lesie, na podwórku lub w ogródku. Ta sama naukowiec twierdzi, że w ciągu minionego ćwierćwiecza o 9 godzin tygodniowo zmniejszył się wymiar czasu poświęcanego przez dzieci na swobodną zabawę poza domem. Badania Rhondy L. Clements mówią z kolei, że 71 proc. dzisiejszych matek pamiętało z dzieciństwa codzienną zabawę na dworze, lecz tylko 26 proc. tej grupy znało to zjawisko z życia swoich dzieci; dotyczyło to także osób zamieszkujących obecnie obszary wiejskie i przedmieścia. Ankieta przeprowadzona wśród rodziców

przez czasopismo „American Demographics” w roku 2002 wykazała, że 56 proc. obecnych rodziców w USA miało w wieku 10 lat swobodę w kwestii samodzielnego pójścia lub pojechania rowerem do szkoły, a tylko 36 proc. z nich pozwala na to samo własnym dzieciom. Z kolei naukowcy brytyjscy – bo tendencja nie dotyczy tylko Stanów Zjednoczonych – już w 1990 r. zauważyli, że w tym roku swoboda poruszania się przyznawana 10-latkom była taka sama, jaką w roku 1971 cieszyli się już siedmiolatkowie.

Co zatem robią najmłodsi? Na przykład w USA dzieci w wieku 6–11 lat spędzają co najmniej 30 godzin tygodniowo przed telewizorem lub komputerem, a nieco starsze – średnio 6,5 godziny dziennie. Nawet gdy tego nie robią, przebywają głównie – oprócz szkoły – w domach lub w „sztucznych” przestrzeniach skomercjalizowanych (centra handlowe itp.) i terenach sportowych w ramach zorganizowanych i drobiazgowo zaplanowanych zajęć. Według badań naukowców z Uniwersytetu Stanu Maryland, w latach 1981–2003 dzieci o 9 godzin więcej w tygodniu poświęcają na zajęcia szkolne lub inne edukacyjne, a czas spędzany przed komputerem uległ podwojeniu. Naukowcy z Uniwersytetu Michigan twierdzą na podstawie badań, że w latach 1981–1997 o 20 proc. wzrosła ilość czasu poświęcanego na naukę i edukację już w grupie dzieci do lat siedmiu. Nie tylko nie ma tu miejsca na przyrodę, lecz coraz mniej jest go także na jakąkolwiek spontaniczność i swobodę, na to, co instynktownie kojarzymy z kwintesencją dzieciństwa.

W ten sposób powstało, jak nazywa je Louv, „pierwsze odnaturalnione pokolenie”. Nie wiemy jeszcze dokładnie – bo mało kto prowadzi stosowne badania, zwłaszcza długofalowe – do jakich prowadzi to skutków, ale mamy już pewne przesłanki i intuicje. Louv przytacza rozmaite analizy i obserwacje, z których wynika m.in., że brak kontaktu z przyrodą ma negatywny wpływ na nasze zdrowie psychiczne, dobre samopoczucie, nastrój itp. Znane są badania grup pacjentów, którzy szybciej wracali do zdrowia, gdy okna szpitalne wychodziły na tereny zielone;

badania grup więźniów, którzy częściej zapadali na różne choroby, jeśli z cel mogli spoglądać tylko na „cywilizację”; badania pracowników biurowych, których samopoczucie i wydajność rosły wraz z dostępem do widoku przyrody za oknami urzędów i siedzib korporacji. Skandynawskie obserwacje grup dbających o kondycję w różnym otoczeniu mówią nam, że bardziej wypoczęte, spokojne i mniej depresyjne były osoby np. biegające czy ćwiczące pośród przyrody i otwartego krajobrazu niż w siłowniach czy salach gimnastycznych, choć wykonywały podobny zestaw czynności.

Banalna jest konstatacja, że dzieci i dorośli prowadzący „domowy” tryb życia znacznie częściej narażeni są na nadwagę, otyłość, choroby cywilizacyjne itp., ale już mniej oczywista (i słabiej zbadana) jest zależność między malejącą ilością czasu spędzaną pośród natury a wzrostem przypadków depresji i podobnych przypadłości oraz spożyciem leków mających im przeciwdziałać. Badania Nancy Wells i Gary’ego Evansa wykazały, że dzieci mieszkające w otoczeniu przyrody, nawet jeśli nie spędzały czasu wśród niej, rzadziej wykazywały zaburzenia zachowania, lęki i depresję, a także miały wyższą samoocenę niż ich rówieśnicy z bardziej „sztucznych” okolic. I odwrotnie: istnieją coraz silniejsze przesłanki na rzecz tezy, że kontakt z przyrodą, częste przebywanie w jej otoczeniu itp. znacznie łagodzą objawy i natężenie ADHD, zbierającego coraz obfitsze żniwo wśród dzieci i młodzieży (w samych USA jest to kilka milionów dzieci). Jeszcze inne badania i spostrzeżenia mówią o dobroczynnym wpływie swobodnej aktywności wśród przyrody na zdolności manualne, wyobraźnię, samodzielność, umiejętność rozwiązywania praktycznych problemów czy zapoznanie się z prawami fizyki w praktyce.

Tego rodzaju argumentów znajdziemy w książce wiele, ale moim zdaniem nie one są najważniejsze. Wielką zaletą „Ostatniego dziecka lasu” jest zwrócenie uwagi na aspekty mniej wymierne i oczywiste, lecz ważne i intuicyjnie dostrzegane przez – jak sądzę – niemało osób. Obcowania z przyrodą (lub jego braku)

nie da się sprowadzić do zestawu policzalnych korzyści z dziedziny zdrowia fizycznego i psychicznego. Powiedzmy więcej: poprzestanie tylko na nich byłoby poddaniem się tej samej tendencji, którą książka krytykuje – tendencji wspierającej świat coraz bardziej sztuczny, interesowny, merkantylny, w wąski sposób racjonalny. Tymczasem Louv wspomina także coś zupełnie innego: „Przyroda jest niedoskonale doskonała, pełna swobody i nieskończonych możliwości, z błotem i pyłem, pokrzywami i niebem, chwilami transcendentnych doświadczeń i zdartymi kolanami. Co się stanie, gdy wszystkie te elementy dzieciństwa ulegną erozji, gdy młodzi ludzie nie będą już mieli czasu ani przestrzeni na zabawę we własnym ogródku, jeżdżenie rowerem po ciemku w świetle gwiazd i księżyca, spacerowanie przez las w stronę rzeki, leżenie w wysokiej trawie w gorące lipcowe dni, oświetleni przez poranne słońce, jak trzmielce drżące na strunach harfy? Co wtedy będzie?”

W zgodzie z duchem amerykańskiego pragmatyzmu, autor „Ostatniego dziecka...” nie tylko opisuje problem i jego różnorakie aspekty, lecz także proponuje środki zaradcze. Najprostsze, zdroworozsądkowe, to m.in. zabieranie dzieci na spacerowanie czy wycieczki terenowe, zachęcanie ich do zabaw w ogrodzie i dokładnego poznawania jego wybranego fragmentu, różne formy spędzania czasu na łonie natury czy to z rodziną, czy z szerszym kręgiem sąsiedzko-towarzyskim. Bardziej zaawansowane to działania instytucjonalne, poczynając od tworzenia i rozwoju terenów zielonych w miastach (i dbałości o nadanie im „niesterylnego” charakteru) czy ochrony rozmaitych „nieużytków”, a kończąc na reformach w sposobie funkcjonowania szkół, m.in. tworzeniu ogrodów czy mini-rezerwatów przy takich placówkach, organizowaniu wyjazdów na „zielone szkoły” i obozy terenowe, położenie nacisku na poznawanie otoczenia przyrodniczego w okolicy, dokonanie zmian w programach nauczania. Jeszcze szerzej zakrojone są postulaty zmian formalnoprawnych, np. likwidacji wielu zakazów, które mają chronić dzieci czy własność prywatną, skutkują utrudnianiem aktywności w otoczeniu przyrodniczym. Mowa też o konieczności

stopniowych przeobrażeń dotyczących kultury narodowej. Louv kilkakrotnie podkreśla, że jedna z głównych barier w korzystaniu z możliwości przebywania na łonie natury to amerykańskie postawy spod znaku pieniacstwa sądowego, podsycanego przez „przemysł adwokacki”. Ważne są także kwestie administracyjne, jak konieczność powrotu do całościowego planowania przestrzennego, aby można było tworzyć lub ocalić tereny zielone, miejsca przyrodnicze itp. Najszerzej zakrojona, choć, jak przyznaje sam autor, najbardziej niekonkretna wizja, to proces „powrotu do ziemi”. Całe regiony USA wyludniły się wskutek upadku niewielkich gospodarstw rolnych i obsługujących je miasteczek. Na przykład w stanie Kansas część hrabstw jest zaludniona słabiej niż w roku 1890, a na Wielkich Równinach istnieje prawie 200 hrabstw o gęstości zaludnienia mniejszej niż 6 osób na milę kwadratową, czyli poniżej wskaźnika oznaczającego, że dany teren jest traktowany jako zamieszkały. Louv przekonuje, że to znakomity punkt wyjścia do ponownego zasiedlania obszarów przez ludzi świadomych wagi problemu związanego z oddzieleniem od przyrody.

We wszystkich tych pomysłach autor „Ostatniego dziecka lasu” próbuje pozyskać dla sprawy różne grupy, nie tylko tak oczywiste jak rodzice, nauczyciele czy lokalni decydenci, ale także naukowcy i przywódcy religijni. Szczególnie ci ostatni – i w ogóle środowiska religijne – są, jego zdaniem, ważnym sojusznikiem, gdyż przekonany jest, co potwierdzają amerykańskie badania, że to właśnie wartości duchowe są częściej skorelowane z wrażliwością na ochronę naturalnego dziedzictwa niż argumenty racjonalne i dyskurs naukowy. Ale nie tylko o kwestie taktyczne tu chodzi. W książce Louva, pełnej argumentów pragmatycznych i konkretnych, wielokrotnie pobrzmiewa – jak wspominałem – przekonanie, że bez natury, kontaktu z nią czy inspiracji światem przyrody nie jest możliwy pełen rozwój człowieczeństwa i kultury ludzkiej. Świat coraz bardziej „sztuczny” jest nie tylko „niezdrowy” w sensie psychofizycznym – to także świat, wbrew pozorom, coraz mniej

cywilizowany. Mamy w „Ostatnim dziecku lasu” do czynienia z intuicją bardzo podobną do sformułowanej około stu lat wcześniej przez „ojca” polskiej ochrony przyrody, Jana Gwalberta Pawlikowskiego. W swym manifestie „Kultura a natura” stwierdził on, że „Hasło powrotu do przyrody, to nie hasło abdykacji kultury – to hasło walki kultury prawdziwej z pseudokulturą, to hasło walki o najwyższe kulturalne dobra.” Trudno o lepsze podsumowanie książki Richarda Louva. Rzecz nie w „powrocie do jaskiń”, jak wszelkie wezwania do ochrony przyrody oraz do ochrony więzi z nią komentują ludzie o bardzo małych rozumkach i podobnie znikomych sumieniach. Wręcz przeciwnie – chodzi o wyrwanie człowieka z jaskiń, nawet jeśli są to jaskinie klimatyzowanych pomieszczeń pełnych najnowszych gadżetów high-tech.

Autorstwo: Remigiusz Ochraska

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

BIBLIOGRAFIA

Richard Louv, Ostatnie dziecko lasu. Jak uchronić nasze dzieci przed zespołem deficytu natury, Grupa Wydawnicza Relacja, Warszawa 2014, tłum. Anna Rogozińska.